



V S



K.P. 27.03.14

Natalia Mietielewa "Wściekłość"

Fahrenheit Crew

Wściekłość rozdziera gardło, wyrywa się, leci nad moim ciałem, rozpruwając mrok:

- Da-waj! Da-a-a-wa-a-aj!!!

- Ur-rr! Rrrauw... - Łomocze ciemność, pochłaniając krzyk.

Gdzieś tam, w czerni - Janka. Tańczy - godzinę, dwie, pięć, dobę. Co ma do tego czas? Nic. Janka tańczy wieczność. Płonie małe gibkie ciało - dmuchnij, a zgaśnie. Migoczący punkt, ledwie rozróżnialny w otchłani. Ognista śnieżynka. To ona przygasa, to ja. Rozpalaj się! Nie gaśnij, Janka! Rozbłyskuje, pulsuje, przyspieszając rytm.

Za mało mi tego światła. To żabie oczy wychwytują jedyny foton z odległości tysiąca mil. Nie jestem żabą, potrzebuję całego słońca, wszystkich gwiazd! Powinienem być bliżej Janki. Trzymać ją za rękę. Objąć. Wchłonąć życie. Oślepnąć od słońca, które zapłonęło między nami, dookoła nas.

Ale ja - tu. A tam - Janka i ci, nieznani, którzy spijają jej taniec. Nie widzę ich oczu. Nie mają oczu. Nie mają nic, nawet imienia. Kłamię. Mają nas. Nasze myśli o nich, nasz strach. Drapieżna pustka rozsypała się zwartą ciemnością na setki lat świetlnych i spija Jankę przez słomkę fotonu.

- Rrauurrrw! - warczy ciemność.

- Dawaj! Trzymaj się, Janka! - Wybuch wściekłości wykręca mnie na lewą stronę. Braknie mi sił. Zbyt szybko tym razem. Ale wystarczy nawet szept, myśl: „Płoń, Janka! Jestem z tobą...”

* * *

Nasza dziesiątka żywych. Łokieć kolegi - bliżej już się nie da. Przyjacielskie łokcie są wrogami moich żeber. „Oddychaj dwumiarowo, oszczędzaj locus!” - syczał poeta i programista Jasza Osin. Locus... Skrawek, oderwany od statku. Miejsce, pięć na pięć kroków. Kłaczek mroku i smrodu.

Roimy się, jak robaki w puszcze wędkarza. Czekamy, kiedy nasadzą na haczyk. „Rybacy” - jak ich ochrzcił Wład? Żraby? Mraże? Jaka różnica! - nawet nie wyciągają robaka. Wszystko odbywa się tu. Człowiek zaczyna konwulsyjnie się szarpać, rzeźić. I świecić. Błado jak świetlik. Chwiejnie jak błotny ogień. Ale w całkowitej ciemności, to światło nas oślepia. Rzucamy się, wciskamy w podłogę, w gładkie, śliskie jak rybi pęcherz ściany - byle dalej, jak najdalej od świetlika, byle nie zostać zaczepionym.

Kiedy zaświecił się pierwszy z nas, dookoła niego jeszcze był tłum - prawie setka ludzi dotarła do mesy, zanim zatrzasnęła się pokrywa. Świetlik zaczepił wszystkich, którzy byli obok. Jak oni krzyczeli! - kiedy rozpuszczali się w kwasie. Od tamtej pory - rzucamy się aby dalej, patrzymy, kostniejemy od beznadziejności.

* * *

- Co z nią? - rzezę półprzytomny. Wład rozpląszczył się obok, ledwie oddycha. Poznaje go po zapachu - ciężkim, byczym.

- Jeszcze tam jest.

- Ile minęło czasu?

- Trzy doby. Prawdopodobnie.

Dla nas czas nie istnieje. Tu go nie ma. Jest zegarek Dowódcy, jeden na wszystkich. Najstarszy ze starych, mechaniczny, z fosforowanymi wskazówkami. Wykończymy się wcześniej, niż rozwinie się sprężyna.

- By to diabli! Zbyt długo. Cho-ole-era!!! - Pięść wbija się w ścianę. Ta lekko się ugina i pluje w twarz słuzem. Odżywczą obrzydliwością, dzięki której jesteśmy żywi. Nie do pomyślenia, by ją jeść - odrzuca. Ale nie musimy. Sama wsiąka w skórę. Przenika z każdym wdechem. Lepiej nie myśleć, skąd tu się wzięła!

* * *

Oni - mraże? Żraby? Gównu! - bystre istoty. Świetliki spalają się prawie do cna, na niewidoczny, nic nie ważący popiół, roztarty do poziomu kwarków. Zmieniają się w paszę. Mannę niebiańską. „Z mikrofalówki” - powiedziała Dżossi. I postradała rozum. Piszcząca po każdym zabranym przez żraby. Bez przerwy, cienko. Do następnego świetlika. Tak wkręcała się w nawet najmniejszy nasz nerw, że chciało się ją udusić. Pewnego razu pisk zanikł. W ciemności, na zawsze. Często milczałem o Dżossi. Jasnowłosa, niebieskooka Dżossi. Modliłaś się do nocy? Do niekończącej się, rozpaczliwej nocy? Do ciemności nieprzeniknionej?

Modlimy się do ciemności, która nas pożera. Modlimy się, milcząc. Za siebie. Za wszystkich. Bardziej od śmierci boimy się teraz światła. Światło to śmierć świetlika.

* * *

- Zauważyłeś, Les? Przez ten czas ani jednego świetlika! - zasypiając, mamrocze Wład i wyczuwam, że się uśmiecha. - Ani jednego, kurczę...

Łatwo mu się uśmiechać. To nie on pada iskrą w otchłań, tańcząc i wypalając się doszczętnie. Pali się jedna za wszystkich. Trzymaj się, Janka!

Trzy doby bez ofiar. Całym sobą, całą wrzącą nienawiścią czuję - nie będzie ich więcej. Trzy doby! A były każdego dnia. A może nocy? Regularnie. Żrabyabrały trzydziestu. Pozostali zginęli inaczej: niektórych zaczepiło, inni sami rzucali się na mknącą do sufitu pochodnię albo znikali w czymś cmokającym - tam, gdzie wcześniej była śluza. Tam, gdzie zniknęła Dżossi.

Za każdym razem „puszka” jakby usychała. I kurczyła. Zrozumieliśmy, że żraby, jeśli nie są rozumne, to na pewno racjonalne: mniej przestrzeni - większy pożytek z paszy i robaki nie rozpełzają się po ściankach. Pchnij nieopatrnie w ściankę - i włączysz świetlika. To my tak myślimy. Żraby nie myślą, one po prostu jedzą światło, jak plankton.

Pal się, rozpalaj, moja gwiazdo... Gwiazdo płomienna. Gwiazdo o imieniu Wściekłość.

Trzy doby pali się Janka.

* * *

WEJŚCIE

* * *

Kiedy statek wchodzi w nadprzestrzeń – jeden wielki błysk. Kiedy wychodzi – słabo świecą „awaryjki”, brzęczy wibromasażer kapsuły, serce traci rytm, leniwie przeżuwać wstrzyknięte w żyły jakieś plugastwa – świat wraca do świadomości, układając się niczym puzzle.

Między wejściem i wyjściem – kreska. Czarna klatka, dokładniej – mrugnięcie. Nie ma tam ani świata, ani nas. Ani ciemności, ani światła.

Ale ciemność była. I cisza. I chłód.

Ocknąłem się, wiedząc już – wszystko nie tak, a to znaczy, wszystko źle.

Po omacku wydostałem się z przedziału. Nigdzie, nawet iskry. Kompletnie nic nie widać. Śluzy otwarte. Luki wydarte, jak popękane błony. Powietrze dziwne. Nieprzenikniony mrok chrzęści na zębach gorzkim kurzem. Smak zatrzymanej chwili.

A potem lunęły krzyki. Zewsząd. Nie tylko ja czołgałem się do mesy, chociaż byłem zobowiązany pozostawać na miejscu i zachowywać spokój. Zachowałem się poprawnie: ktoś z załogi – tylko oni na pamięć znają wszystkie przejścia – grzechotał po przegrodach i wrzeszczał, prawdopodobnie, w imitujące megafon dłonie:

- Do wszystkich, którzy słyszą! Opuścić przedziały, podążyć za moim głosem. Zbiórka w mesie. Do wszystkich, którzy słyszą...

* * *

- Broń, latarkę, zapalniczkę, piezorek masz? – zapytał gęsty jak smoła bas, kiedy wpadłem do śluzy. – Przekazać!

Pytanie było tak absurdalne, że panika znikła. Skonała z powodu szoku. W kosmos na zapalkach... w nadprzestrzeń, na piezorku...

- Nie palę i bezbronny.

- Nazwisko, tytuł?

- Les Biełow, pasażer z trzeciego poziomu. Pokazać bilet, kontrolerze?

- Yhy – złośliwie burknął żywiczny bas – tylko włącz światło, bo numeru nie zobaczę.

- Co się stało? – mimo wszystko ciągle miałem nadzieję na banalny wypadek, ale kosztujące ze strachu wnętrzości wyczuwały – wpadliśmy, jak śliwka w kompot i nikt nie zaręczy, że wydostaniemy się żywi.

- Co się stało? Bal maskowy, kurczę – zaklął niewidoczny w ciemności posiadacz basu. – Odpełzać wzdłuż ściany w prawo. I cicho. Nie krzyczeć, nie szukać swoich. Za kwadrans będzie apel, wtedy się dowiesz.

Zrobiłem krok w nakazanym kierunku. Objęły mnie czyjeś ręce, gorący szept momentalnie ogrzał policzek:

- Les! Żywy! Jednak jest Bóg na świecie.

- Masz rację, Janka!

* * *

Nie zauważyliśmy, kiedy zatrzęsnęła się pokrywka „puszki”. Po prostu, bas „kontrolera” nie odezwał się na apelu. Kapitan natychmiast rozkazał wszystkim odsunąć się od służby. Tłum zachwiał się i mnie z Janką wgniotło w ścianę, która dziwnie się ugięła. Okazało się, że już jej nie ma, zastąpiona została czymś śliskim, sprężystym.

- Witajcie w tyłku Boga! - dociął Wład. Gdybym mógł się pochwalić jego optymizmem!

Przejsście do przedziału, gdzie była służa, zniknęło. Ciemność, która je kryła, okazała się żarłoczna - łykała z cmokaniem.

I ani jeden piezorek nie działał.

I stało się światło...

* * *

Skazanemu nie można pomóc. Zawisa nad głowami - pogrzebowe ognisko z samego siebie. Świeci koszmarną lampą, a puszka wypełnia się powietrzem z zapachem ozonu. A dalej - różnie. Niech ktoś inny opowiada, jak niewidoczne ryby zaczynają dziobać robaka i jak go wsysają.

I znów - ciemność. Ciemność - to dobrze. To znaczy - nikt teraz nie umiera.

* * *

Zauważyliśmy: śpiących żraby nie brały. Wszyscy zaczęli spać do granic możliwości albo po prostu leżeć, gapiąc się w nicość, starając się nie ruszać. Każdy bał się uczynić to jako pierwszy.

W ciągu doby wzięto trzech. Manny było po kostki. Wład wysnuł przypuszczenie: karmią nas na siłę - jesteśmy zbyt cherlawi.

* * *

Świetliki palą się prawie godzinę. Alena, żona Kapitana, kilka godzin wisiała nad nami. Dlaczego - wiedzą tylko żraby, ale ich nie spytasz. Hurmem trzymaliśmy jej męża, przyciskając do podłogi, żeby nie rzucił się zdychać razem z nią. Trzymaliśmy, póki nie wychrypiał z wypalającą się, nienawidzącą wściekłością:

- Słuchajcie skazańcy! Mamy zadanie! Dezerterom - wieża!

Myśleliśmy - Kapitan kaput, zbikował chłop. Ale nie. Każdemu znalazł zajęcie, DOPÓKI JASNO. Sprawdzać, który sprzęt ocalał, remontować, co się da, naprawiać odzież. Sam rzucił się do zablokowanej służby w tym samym przedziale... i nic się nie stało. Okazało się, że jest dostęp do służby. Jest! Dłubał przy niej około trzech godzin, ledwie zdążyliśmy go oderwać, kiedy w świetlika Aleny wreszcie dziobnęło i światło zaczęło powoli blaknąć.

* * *

Janka ryczała - głucho, wtuliwszy się we mnie. Moje ręce błądziły po jej lepkich włosach, czyszcząc je ze skrzepów manny.

- Ciszej, dziecino.

- Nie mogę! To jeszcze gorzej, Les - nic nie ważący szept gorącem oblał ucho. - Już nie straszno - przykro! Jak wyobrażę sobie taką martwą żarówkę, a żywi na dole krzątają się rzeczowo, zaszywają kurtki... i cieszą się z takiego światła! Gorzej, niż zwierzęta!

- Gorzej padać łapkami do góry i czekać, kiedy rozdepczą.

- To nieludzkie! Człowiek zawsze szanował cudzą śmierć. Zawsze! A tu... cyniczna utylizacja wszystkiego!

- Śpij, dzieciно. Niech martwi chowają swoich nieboszczyków...

Zaszlochała.

- Hej, z prawej burty, spać! - zawarczał Wład.

- To niemożliwe! - poruszyli się w ciemności pozostali.

Kapitan milczał. Gdzie on jest? Śluza nie zawsze mlaszcze, kiedy znikają tam ludzie.

- Dowódco!

- Nie wrzeszcz, nie jestem głuchy - odezwał się dowódczym głosem daleki kąt przy samej śluzie. - Komu sprzykrzyło się tu żyć?

Westchnienie ulgi, podobne do szumu wiatru w niewidocznym lesie. W spoconym, śmierdzącym lesie.

- Znaczy, tak, chłopcy... i ty, lejdi! - Kapitan był jak zawsze złośliwy i skupiony. - Bunt odwołany. Korzystać będziemy z każdej sekundy światła, jakie by ono nie było. Rozumnie korzystać, debile! Sorry, lejdi! Nie drętwieć w modlitwie, w gównie albo w czymś tam jeszcze, w czym drętwiejecie. Jeśli ktoś jeszcze nie zrozumiał, wyjaśniam: żraby przestają obserwować nas od momentu, w którym wybrali robaka. Puszka jest w tym czasie bez nadzoru. Trzeba tylko rozbić pokrywkę.

Wład ożywił się, radośnie szturchnął mnie w bok niezajęty przez Jankę:

- I na pewno rozbijemy! Mam hipotezę, Kapitanie. Może oni ślepną?

- Idź, sprawdź, okulisto! - Trucizny w dowódczym głosie wystarczyłoby dla wszystkich mraży i żrabów, gdyby siedzieli w naszej puszcze. - Najważniejsze w tym momencie, wypełznąć, póki jeszcze jest komu. Kto pragnie, może pozostać. Jasne? Wszyscy spać!

Sprzeciwów nie było, ale Janka sapiała protestująco pod moją pachą.

Kiedy wszyscy się uspokoili, Wład przedostał się na jej stronę, omal nie rozgniatając nas przy tym przemieszczeniu swojej tuszy i opowiedział bajkę na dobranoc o wyrwanym sercu. Niech żyje aztecki stoicyzm!

- On sam tak zdecydował - upierała się Janka - a tu... ludożerstwo i... w ogóle zgroza.

- Wiesz, przyjaciółko...

- Hej, nawet nie myśl! - Wyszczrzyłem się z przyzwyczajenia.

- Hyy - zarżał Wład, ale natychmiast spowaźniał. - Nie przerywaj, Les! Mam ważną wiadomość.

Myślę, że świetliki zachowują świadomość do końca.

Kiedy do nas dotarło, CO on powiedział, Janka szarpnęła się niczym jaszczurka w stronę ściany. Chyba zwymiotowała. Inna sprawa, kiedy jest ci obojętne, co z tobą i dookoła ciebie się dzieje, kiedy jesteś martwy, bo – jesteś martwy. I wstydu nie masz. Ciebie – nie ma. Nigdzie. Ale umierać TAK i być świadomym WSZYSTKIEGO?! Zabić tego Włada. Natychmiast.

– Zamknij się, Wład! – zagrzemiał ze swojego kąta wszyskosłyszający Kapitan.

Rozbudzony naród zaburczał jeszcze głośniej: najgłośniejszy buhaj szedł do nas po głowach i brzuchach zależnych.

– Zamknij się! – powtórzył nad samym uchem już bardzo cicho, prawie czule. – Tak nie można, maluchu. Pomyśl dobrze, a potem... pomyśl jeszcze lepiej i zrozumiesz, dlaczego.

I nasz grubas zatkał się, co też było niemożliwe: jeśli Wład uważał, że ma rację, to nie ukrywał przed światem ciężkich przyczyn pewności. A jeśli nie uważał, to i nie paplał nigdy. Za to lubili go wszyscy, a Janka po prostu uwielbiała.

– Tak jest, dowódco! – potulnie wymamrotał „maluch”. – Pozwolicie odejść?

Puszka wypełniła się stłumionymi śmieszkami: wszyscy wyobrazili Włada „chodzącego leżąc”.

– Znikaj – zezwolił tyran. – Pozostali, którzy mają uszy, słuchajcie. Kiedy wszędzie świetlik...

I długo przeżuwał, co kto ma robić. Jeszcze przez godzinę wszyscy obsysali instrukcje i grzecznie interesowali się – a po kiego? A Jaszka Osin truł anegdoty. Kapitan rżał najgłośniej, głośniej niż płakał za Aleną. Tylko Janka milczała. Cieszyłem się z ciemności, które pochłonęły jej spojrzenie bazyliuszka. Jak wytłumaczyć, że nie jesteśmy wyrodkami? Jesteśmy chłopami, którzy nie potrafili nikogo uratować. Jesteśmy suchą nienawiścią, która nie ma czym płakać.

* * *

– Les, śpisz?

– Nie, Janko.

Delikatna dłoń dotyka czoła. Wargi łaskoczą ucho:

– Mój ty talizmanie!

Raczej odwrotnie. To mój piąty skok w nadprzestrzeń. Talizmanem przestałem być przy trzecim.

– Les, przecież to wszystko złudzenie? Tak naprawdę, wszyscy śpimy w anabiozie i ten koszmar nam się śni?

– Oczywiście, ukochana. Śpij.

Gdyby to było takie proste! Uwierzyć, że realność, przekazywana nam w odczuciach – subiektywna. Po prostu sen, jeden na wszystkich. Moje poprzednie cztery skoki są czterema snami jakiegoś zbzikowanego Kinga: katastrofa na żarłocznej planecie, zagarnięcie przez jakieś karaluchy, przy trzecim był chłopiec-paranoik, który wystrzelał wszystkich, oprócz mnie. Zabiłem go wtedy. W ostatnim skoku zabijano mnie. Sen. Wszystko to sen. Śpij, Janka.

Ale czasami z nadprzestrzeni wychodzą statki-cmentarzyska, pełne trupów albo całkiem puste, z pracującą aparaturą, ale bez ludzi, którzy zniknęli między wejściem i wyjściem. Ocalałe czarne skrzynki i dzienniki pokładowe pełne są realnego przerażenia. Za każdym razem różnego. Żraby się nie powtarzają. Nikt jeszcze nie odkrył prawidłowości. Nikt nie opracował sposobu, jak zapewnić całkowite bezpieczeństwo wyjścia w nadprzestrzeń, by obronić się przed mrażami, kryjącymi się w niebycie, i nie liczyć na łut szczęścia? Nam się powiedzie, ukochana. Śpij. Być może, obudzimy się żywi.

* * *

Obudziłem się od błysku światła i kapitańskiego wrzasku: – Poo-wstać! Wszyscy na stanowiska!

Poszperałem z prawej strony. Janeczki nie ma. Serce skurczyło się jak sprężyna. Zerwałem się i omal nie zderzyłem ze świetlikiem. Przed oczyma przepłynęły czerwono-rude półbuty. Z nimi, nigdy – za wyjątkiem wanny i pościeli – nie rozstawał się Jaszka Osin, programista, poeta i kobieciarz. Wyżej nie patrzę – przykro, za to Wład – nie odwodzi oczu i całkiem zapomniał, czym powinien się teraz, zgodnie z instrukcją zajmować. Kapitan... też tam się gapi. Spojrzałem kątem oka: z Osina już mało co zostało, a ręce nadal się szarpią i twarz tak dziwnie się wykrzywia. Świetliki zawsze tak mają.

Jankę znalazłem za plecami: przy ścianie, w pozycji lotosu, dłonie w łódeczkę, łyzy i oczywiście, szept. Wsluchiłem się: „Przyjmij, Panie, duszę niewolnika Twego, Osina”.

Amen. Przebacz, Osa! Przebacz, że idę do diabelskiego przedziału – rozbijać śluzę młotem, dłubać śrubokrętem, paznokciami, zębami, czym się tylko da. Póki niewidoczne ryby jedzą obiad. Póki nie gaśnie światło. Póki pali się świetlik...

Kiedy ludzie oczyścili umysły ze śluzu strachu i zaczęli myśleć, po raz tysięczny zadali pytanie – co za dranie nas pożera i jak przed nimi nie tylko się bronić, ale także ich dosięgnąć, i w ten sposób się uratować – Janka wypaliła:

– Ja wiem, kim oni są!

Wszyscy zamilkli. Każdy o czym innym. Ja milczałem o Dżossi. Janka też oniemiała – prawdopodobnie zrozumiała, o czym milczymy, pogubiła się. Tylko szalenieć zna absolutną prawdę.

* * *

– Postradałam zmysły, prawda? – szept Janeczki jak nocny wiatr w trzcinach.

Całuję jej delikatną dłoń:

– To nie grozi śmiercią.

– Nie żartuj!

– Już nie potrafię.

– A czytać z warg? ...znajdując jej usta, czytając, czytając ponownie, zaczytując się... pod szelest:

– Les...

Otrzeźwiła mnie w najbardziej interesującym momencie:

– Poczekaj, Les! Osa...

- Co? Gdzie?!

- Ciszej! Jasza Osin. On... śpiewał. Tam – jej dłoń wzbija się dokądś w niebyt. – Do końca. Wład miał rację.

- Janeczka, ukochana...

Ciche moje cudo. Jana Wściekłość, tancerka, władająca językiem rozumnych pszczoł Zisz. Interpretatorka, potrafiąca czytać z warg, palców, dotknięć, gestów i, po prostu, ze spojrzenia. Najlepsza w grupie astrolingwisty Włada. Uwierzyłem jej. Do końca, do ostateczności... I oszalałem. Zerwałem się, krzycząc – plując na wszystko!

- I co?! Co on takiego śpiewał? Śmiało podnieśmy sztandar nasz w górę? Płoń, świeć się, moja...

Ostry ból sięgnął brzucha, zapierając dech. Ciemność powaliła mnie pięścią, rzuciła na kolana i spokojnym głosem Kapitana wbijała jeszcze raz do głowy:

- Otrzyj smarki!

A Wład zaśmiał się:

- Powiedzieć ci, co śpiewał? Oto, co! – i zachrypiał półgłosem, nosowo i fałszując:

Puść go w pokój, lecz powiedz dosadnie:

Żyj z tym przekleństwem, niech ból cię przybija,

Niech wszyscy się z tobą obchodzą nieładnie,

I śmierć ciebie kołem szerokim omija...¹

Dlaczego nie mogę tego słuchać? Uderzyłem, kierując się dźwiękiem. Pięść z chrzęstem weszła w ciało – sprężyste, ciepłe, jak śluz manny. I ciemność, ukrywająca ludzi, oddała rykoszetem dziesiątki uderzeń. Ból zwałił się zewsząd, zmógł, wyżał ze mnie człowieka i zostało zwierzę, rwące ciemność na strzępy, do krwi, do krzyku.

- Zabiję gada!

- Nie trzeba! Przestańcie! Zwierzęta! – krzyczała Janka.

- Patrzcie!

Rozkleiłem obrzękłe powieki. Z trudem obróciłem głowę... Rozjaśniając nasze wściekle, zakrwawione mordy, mętnie świeciły się ściany. Nie ściany. Świeciło i już przygasało powietrze... to, czym oddychaliśmy tu zamiast powietrza. Zapachniało ozonem, jak od świetlików.

- Cholela – wyszeptał Wład, wypływając krwawy skrzep. – Co to było?

- Diabelstwo! – echem odezwał się Kapitan.

To była nienawiść, oto co. Drapieżna wściekłość, która nas spalała.

* * *

Przebiliśmy służę, kiedy zostało nas dziesięciu. Rozległ się cienki gwizd uchodzącego w próżnię powietrza. Na szczęście świetlik zgasł i oślizła błona na czas zaciągnęła wyrwę. Ale kto zatka dziurę, która pojawiła się teraz w miejscu duszy! Jeszcze długo nikt się nie odzywał. Leżeli bez sił, bez nadziei i myśleli, kto będzie tym ostatnim, który nigdy dla nikogo nie umrze, nikogo nie uratuje.

* * *

Jakich to hipotez nie natworzono na temat mraży. Wcielenie wszechogarniającej, bezmyślnej, pozaziemskiej mocy, archaniołowie, strażnicy Bytu, kosmici... chociaż ta ostatnia po prostu śmieszna, bo w nadprzestrzeni, zgodnie z teorią naukową, nie ma przestrzeni, a więc i planet. Zrozumieliśmy jedno: to nie sen, jeden dla wszystkich, ale szczególna forma realności. Przebieg wydarzeń można anulować i sprowadzić do snu. Realność może wrócić do punktu wyjścia, jeśli ktoś zdoła ją odwrócić. A jeśli nikt nie będzie mógł tego zrobić, staje się ostatecznością.

* * *

- Trzymaj. Znalazłam, kiedy Osin... się świecił.

Włożyła mi w dłoń ziarenko kryształu trymerona.

- Ech, gdyby jeszcze gniazdko. I baterijkę...

Wład, który prawdopodobnie nigdy nie śpi, wciąż się bezmyślnie:

- Do tego wietrzyk! I okno z widokiem na morze!

- Zamknij pysk! Q...! - jak na komendę, krzyknęli wszyscy. Za jęzor go i na hak. Ziemia - temat zakazany. Tęsknota ściska, jak przeciążenie dwudziestu g - do krwawego potu. Rozmazuje duszę na przestrzeni tysiąca lat świetlnych - oby się doczekać powrotu i przebiec bosą po trawie...

- Komu potrzebne gniazdko? - głos Kapitana gasi niewidoczne napięcie i przeciążenie, które ścisnęło serce do granic możliwości, zmienia się w nieważkość nagłego szczęścia.

Jednak jest Bóg na świecie. Jest! Są też Jego małe cuda. Prościuteńkie, jak gniazdko trymerona z działającą baterijką.

Palce, śliskie od manny - jak nieswoje. Oby tylko nie upuścić ziarenka w śluz na podłodze - żadne świetliki nie pomogą w odzyskaniu... Mraże żrabiaste! A jednak Janka ma rację - przyzwyczaiłem się! Stałem się gorszy od ludożercy, jeśli jestem zdolny do takiego myślenia o śmierci przyjaciół. Obojętnie. Racjonalnie. I nie o śmierci. I nie o ludziach. I nie myśleć. Czy zawsze byłem taki?

Ktoś szył abażury ze skóry obozowych więźniów? My mamy żarówki. Dziesięć sztuk w opakowaniu.

* * *

Dziesięcioro Murzynyątek niewidocznych w mroku. Sześciu mężczyzn, trzy kobiety i Janka. Skupili się, objęli za ramiona. W moich rękach kawałeczek z innego życia. Ze świata, do którego możemy nie wrócić.

- Les, no, nie ociągaj się!

- Oddychaj potylicą, Wład, bo trymeronka zdmuchniesz! Dla kogo oni te abażury szyli? Calineczki żółto brzuche! Dajcie mi łapkę pajęczą, do naciśnięcia przycisku.

Janka roześmiała się. Po raz pierwszy przez całą ponadczasowość. Przez całą ciemność zatrzymanej, czarnej chwili.

- Daj mi!

I oddałem. I nic we mnie nie drgnęło.

Prztyczek trymeronka. Fontanną wytrysnął kolor, załomotał dźwięk, porwał...

Więc zabierzcie moje oczy,

Więc zabierzcie moje oczy,

Więc zabierzcie moje oczy,

By was nigdy już nie oglądały...

...porwał Jankę, która wzbiła się naprzeciw czarnym ptakom.

Trymeronek natychmiast zaszlochał, zasyczał, jak piezorek: uszła energia, wsiąkła niczym w piasek w żrabią paszczę. Ale któryś z nas już wrzeszczał, a potem wszyscy, do utraty tchu. Też się darłem, rdzewiejącym od półszeptu gardłem, nosowo i fałszywie:

...Byliśmy już w oczach twoich i wzięliśmy wszystko, czego potrzebujemy.

I nagle, nasz locus, pięć na pięć, drgnął. Puszka podzieliła się, jak żywa klatka. Znaleźliśmy się w jamie, otoczonej wąską, szarawą szczeliną jak źrenicą.

A Janka nadal spadała świecącą śnieżynką w mrok. W ciemność, wychlusiętą w przestrzeń uchodzącymi duszami. W ciemność mojego łomoczącego krzykiem serca.

Iskrą przemierzała otchłań i tańczyła, jak przed rozumnymi pszczołami Zisz. Jedyłą frazę, którą nauczyłem się rozumieć: „Kocham cię! Kocham! Kochaj!”

- Trzymaj się, Janeczko! - krzyknął Wład, rzucając się w szczelinę.

* * *

WYJŚCIE

* * *

Trzymamy ją ze wszystkich sił. Wczepiliśmy się sercami i duszami w śpiewającą iskrę. Trzymamy całą wściekłością, całą nienawiścią, całą miłością, całym życiem.

- Rrauuww! - jęczy ciemność, przeszyta pocałunkami światła.

- Kochaj! - tańczy Janka.

Widzę ją nawet z zamkniętymi oczyma: języczek płonącej świecy drży, wznosi się, pieści lepką pustkę ognistą dłonią. Cienka świeca, jak przed ikoną. Jedna-jedyna na całą świątynię. Na cały wszechświat.

I będzie to światło!

Będzie zawsze!

Będzie!

Płonący punkt wybuchu, rozprzestrzenienia się ognistym wichrem, wypełniając świat:

- KOCHAJ!

* * *

...słabo świecą „awaryjki”, brzęczy wibromasażer kapsuły, serce traci rytm, leniwie przeżuwać wstrzyknięte w żyły jakieś plugastwa...

Żyję. Żyję! Przeskoczyliśmy!

Czyjeś ręce podchwytyją mnie, pomagając wydostać się z kapsuły. Klepią po ramieniu.

- Tarasujesz wyjście, staruszkule! Kto ostatni, ten czyści locus do połysku!

Jaszka Osin, goły i w półbutach, wesoły, jak zawsze. Prawdopodobnie, do kapsuły też wlaź w butach. Głośniki coś melodyjnie nadają. Ubieram się, nie przysłuchując. I tak wszystko jasne – przeskoczyliśmy! Nadprzestrzeń została za nami. Nasz mały Sąd Ostateczny. Dalej jest przytulny kosmos, upstrzony igiełkami gwiazd.

Poklepujemy się, odsłaniaamy zęby w uśmiechu... I ani słowa o tym, co przeżyliśmy w Przejściu. To wszystko potem, do ankiet i badań. Nie ma zwyczaju o tym wspominać, nawet przy butelce.

Wład też się wydostał, przeciąga się leniwie, jak kot. Rzy radośnie:

- Parszywa sztuka, ten wasz hiper! Osa, gdybyś widział z boku, jak się z ciebie paprochy sypały. Cieszę się, że żyjesz, diabełku.

Uśmiech spełza z Jaszi, jak poszewka z poduszki. Unikając spojrzenia, mamrocze ze zmieszaną, poszarzałą twarzą:

- Wszystkiego najlepszego z okazji przejścia, Wład. Ja też się cieszę.

Nie chcę patrzeć na Włada. Wiem, że to pierwsze przejście astrolingwisty. Tylko nowicjusze próbują wylać na świat swoje pomyje. Mamrocze standardowe powitanie ozywających nieboszczyków: „Najlepszego, po przejściu!” Prześlizguję się obok.

Nagle gorąco uderza w piersi, stamtąd, z niebytu: „KOCHAJ!” Zatrzymuje mnie, niczym pocisk. Czy to wina Włada? Oglądam się – programista i astrolingwista ściskają sobie dłonie, a w oczach tańczy ta sama gorąca iskra. Nie wiem jak to jest, ale oświeciło mnie przekonanie: odtąd będziemy podtrzymywać siebie, podobnie jak Jankę – całym życiem. Czyżby przybyło w świecie miłości bliźniego?

* * *

Przed przedziałem Janeczki coś za duży tłum... Niech to diabli! Biegnę, roztrącając napotkanych ludzi. Luk wślizguje się w ścianę. Pojawia się Kapitan.

- Biełow? – Hamuje mnie jego smutne spojrzenie. – Nie śpiesz się.

- Co z nią?

Zza ramienia Kapitana przypatruje mi się Dżossi:

- Wszystko w porządku, Les. Janka żyje.

Kłamią. Kłamią przecież! Jakie tam - w porządku? Rzucam się do przedziału, ale Kapitan chwytając mnie za ramię, omal nie wykręcając go ze stawu.

- Chodźmy, Les. Musimy porozmawiać.

Spoglądam w głąb przedziału, na delikatny cień Janeczki, ślizgający się po ścianie. Jej włosy łopoczą ciemnym obłokiem - czesze się, nie zwracając na nikogo uwagi. Już wiem, co mi powie Kapitan: „Ktoś płaci za wszystkich”.

Z zerowym przejściem zawsze tak. Punkt wejścia. Punkt wyjścia. Między nimi - nic. Żarłoczne zero i ktoś jeden za wszystkich opłaca przejazd przez niebyt, inaczej nikt nie wyjdzie. Dlaczego - to wiedzą tylko żraby. Ktoś jeden wychodzi nie takim, jakim był, zostawiając daninę - pamięć albo śmiech, sumienie albo dar boży. Nie chcecie ryzykować - siedźcie w kolebce planety zwiesiwszy nóżki, bo innej, krótszej drogi do gwiazd nie ma.

Kiedyś, zostawiłem w otchłani muzykę. A może muzyka zostawiła mnie? Od tamtej pory, po trzecim skoku, otchłań przesiedliła się we mnie i nie goi się, sączy nieskończoną tęsknotą. Gdzieś tam, w niebycie, na zawsze został poeta i muzyk, Les Bielów. Kosmos to diabeł, kupujący duszę za gwiazdy.

Co przejście odebrało Janeczce?

Podeszła. W wyblakłych oczach Śnieżynki nie błyszczy żadna iskra.

- Witaj, Les. Wszystkiego najlepszego, po przejściu.

- Kocham cię.

Wzrusza ramionami. Obojętny uśmiech - jak popiół i zimne, puste oczy. Chce mi się płakać z bólu, ale zaciskam pięści i patrzę bezsilnie, jak prześlizguje się obok mnie, odchodzi. Jana, Wściekłość. Jedyna z nas, w kim nie było nienawiści - tylko miłość, która podniosła nas z niebytu. Miłość, wypita przez otchłań.

Szepczę:

- Pal się, Janeczko! Jestem z tobą.

Odzyskam dla ciebie twoje światło.

¹ Wiersze I. Kormilcewa.

Tłumaczenie: [Tadeusz Rubnikowicz](#)